

„Polacy nie gęsi i swój język mają” - Jerzy Korey-Krzeczowski (2)

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Jerzy Korey-Krzeczowski, Toronto 2001 r.

Wspomnienia z czasów emigracji do 2003 r. - Kanada

I

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Od lewej: Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną Ireną, R. T. Hon i John N. Turner, późniejszy premier Kanady, 1966 r., fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]

[REDACTED]



Jerzy Korey-Krzeczowski z żoną i papieżem Janem Pawłem II, fot. arch. J. Koreya-Krzeczowskiego

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

[Redacted]

█

█

„Polacy nie gęsi i swój język mają” - Jerzy Korey-Krzeczowski (1)

█

█
█
█
█
█
█

█
█
█
█
█
█
█
█

█
█
█

█
█
█
█

█

█
█

█

█

Polscy artyści plastycy w Kanadzie



Tamara Jaworska, szkic do gobelinu, kolekcja prywatna

Katarzyna Szrodt (Montreal)

Magazyn „Culture Avenue” - Polska kultura poza krajem - udostępnia

zainteresowanym fragmenty publikacji mające na celu przybliżenie tematyki związanej z życiem i twórczością polskich artystów plastyków, będących na emigracji w Kanadzie. Chcemy zorientować czytelnika w zawartości tej niedawno wydanej pozycji wnoszącej nową wiedzę do powojennej historii sztuki.

Z ważnych wydarzeń lat 70., które wpłynęły na życie artystyczne diaspory polskiej, warto na początek odnotować dwa zjazdy Kongresu, zaplanowane na rok 1972 i 1978. W związku z faktem, że rok 1973 uchwalony został w Polsce Rokiem Polskiej Nauki oraz Rokiem Mikołaja Kopernika, stworzyło to okazję do promocji nauki i sztuki wśród mieszkańców Kanady. Rok 1975 przyniósł w Toronto otwarcie pierwszej polskiej galerii sztuki - Sir Nicholas Gallery, w dzielnicy zamieszkałej przez polskich imigrantów, na ulicy Roncesvalles. W roku 1976 odbyła się w Montrealu letnia olimpiada, która ożywiła miasto, stwarzając szansę również artystom do kulturalnego wpływu na rozwój miasta. Światowemu Zjazdowi Kongresu Polonii towarzyszyła wystawa „Polonia78 - Polonia of Tomorrow”, po której założony został Związek Artystów. Celem związku miało być organizowanie wystaw i pierwszą wystawą był grupowy pokaz w Harbourfront Gallery.

Właściciel First Canadian Place, nowo wybudowanego w Toronto gmachu publicznego mieszczącego siedziby banków, sklepów i galerii, ozdobił hall wejściowy gobelinami zamówionymi u trzech polskich artystek. **Tamara Jaworska** stworzyła serię czterech gobelinów zatytułowaną „Modern Quartet”. Dziełem **Zofii Długopolskiej** był gobelin „Infinity”, a **Mari Ciechomskiej** praca „Untitled”. Imponujące kolorem i oryginalnością monumentalne tkaniny dowodziły pozycji polskich artystek w kanadyjskiej sztuce gobelinu. W mieście Quebec ukończono budowę gmachu Grand Theater projektu Wiktora Prusa, architekta polskiego pochodzenia. W Oshawa/Ontario, wystawiono 64 kafle **Bronki Michałowskiej**, a w kwietniu i maju artystka miała swoją największą retrospektywę w Toronto, w prestiżowym Royal Ontario Museum, co było dużym wyróżnieniem artystki przez kanadyjskie środowiska artystyczne. **Kazimierz Głaz** od początku lat 70. z powodzeniem rozwijał swój projekt Toronto Centre for Contemporary Art, współpracując z artystami różnych narodowości, o czym donosiła „Gazeta Polska”: *Kazimierz Głaz wraz z grupą artystów: John Elsass (Kanada), Antoni Cetin (Jugosławia), Ladislav Guderna (Słowak), Jaroslav Hovadik (Czech), Tibor Kovalik*

(Słowak), Edward Koniuszy (Polska), Herold Klunder (Holandia), R.S. Rania (Indie), Aleksander Wielogórski (Polska), zorganizował nową galerię sztuki dla szkół. Zorganizowano już wcześniej takie trzy galerie w szkołach. Kolekcja obejmuje obrazy olejne, rzeźbę, grafikę - wyłącznie sztukę nowoczesną. Plany dalszej działalności obejmą jeszcze pięć szkół i w planach są także spotkania z artystami.



Ilona Biernot, Fruit du jour II , olej na płótnie

W marcu 1973 roku, z okazji festiwalu etnicznego „Accord” zaprezentowano w Montrealu wystawę obrazów **Danieli Agopsowicz** i **Aleksandra Oleśko-Ferworna**. Wystawie towarzyszyły występy zespołów ludowych, co dowodziło, że połączenie sztuki wysokiej i folkloru jest ciągle podtrzymywane przez rządowe subwencje w ramach realizowanej przez Kanadę polityki wielokulturowości. W 1973 roku **Edward Koniuszy** otrzymał zamówienie od ukraińskiego kolekcjonera sztuki na rzeźbę mającą upamiętnić pierwszych osadników ukraińskich. **Mykola Kolankiwsy**, twórca i właściciel muzeum ukraińskiego w Niagara Falls, ceniący talent

Koniuszego, przekazał rzeźbiarzowi dziesięcotonowy blok dolomitu. Koniuszy nadał swojej pracy formę totemu, co dowodziło ewolucji jego twórczości w stronę minimalizmu, pod wpływem sztuki autochtonów. Pomnik stanął w Niagara Falls przed Art Gallery and Kolankiwsky Museum. Premier Pierre Trudeau odsłonił w 1982 roku pracę Koniuszego nazwaną „The Pioneer Memorial Monument”. W liście wysłanym na ręce artysty premier Kanady pogratulował mu dzieła, które upamiętnia pierwszych osadników i ich wkład w rozwój Kanady.

Lata 80. zdominowane zostały, zarówno w Polsce, jak i w społeczności polskiej w Kanadzie, przez przemiany polityczne, co dowodziło, jak bardzo sprawy kraju łączą Polaków mieszkających poza granicami. Puls wydarzeń: powstanie ruchu „Solidarność”, wprowadzenie stanu wojennego, internowania działaczy „Solidarności”, później obrady Okrągłego Stołu, pierwsze polskie wolne wybory w czerwcu 1989 roku - wszystkie te przemiany odbierane były niezwykle intensywnie w Kanadzie. Wydarzenia związane z rozpadem systemu komunistycznego rejestrowane były przez media. *Oczy świata zwrócone są dziś na stolicę Polski, której ulice patrolowane są przez wojsko* - tak nagłówki gazet informowały o niepewnej politycznie sytuacji. *The eyes of the world today were on this stunned Polish capital where troops in battle dress are patrolling the streets* - alarmowała „The Gazette”. [przyp. 1]

ZBIGNIEW KUPCZYNSKI



ART WARRIOR

Zbigniew Kupczyński, okładka autobiografii artysty z jego pracą

Spółeczność polska w Kanadzie, po raz kolejny w swojej historii, wykazała się ofiarnością wobec Polski sparaliżowanej stanem wojennym. W wielu miastach Kanady zawiązały się komitety pomocy wspierane przez instytucje i organizacje kanadyjskie. Konsekwencją stanu wojennego była emigracja polityczna nazwana „falą solidarnościową”. Składała się ona częściowo z Polaków, którzy w chwili wprowadzenia stanu wojennego znajdowali się poza granicami Polski, z działaczy otrzymujących „paszport w jedną stronę”, z członków rodzin dołączających do bliskich. Z jednej strony był to bolesny w konsekwencji odpływ wykształconych obywateli z kraju, z drugiej poważna zmiana oblicza Polonii kanadyjskiej: ożywienie jej, przefiltrowanie nowymi prądami politycznymi, społecznymi i kulturalnymi. *Przyptyw nowej emigracji oznacza przede wszystkim odmłodzenie Polonii – grupa*

polska w strukturze wieku jest jedną z najstarszych. Zwiększy się także znajomość języka polskiego, natomiast nie sposób przewidzieć, jak nowa fala wpłynie na strukturę organizacyjną Polonii - zastanawiał się Benedykt Heydenkorn na początku lat 80.[przyp. 2] Emigracja wojenna i PRL-owska określone zostały przez nowoprzybyłych mianem „starej emigracji”, by odróżnić je od „młodych” emigrantów solidarnościowych. Ponad połowa nowych przybyszów osiedliła się w prowincji Ontario. Pozostali rozproszyli się głównie w prowincjach zachodnich Alberta, Brytyjska Kolumbia, Manitoba, osiedlając się głównie w wielkich miastach.[przyp. 3] Liczbę przybyszy szacuje się na około 130 tysięcy, biorąc pod uwagę lata 1981-1993.[przyp. 4] Większość osiadła w dużych miastach: w Vancouver, Calgary, Edmonton, Toronto, Montrealu, Ottawie. Z artystów, którzy znaleźli się wśród emigracji „fali solidarnościowej”, z czasem część odnalazła się zawodowo w Kanadzie, inni wyjechali do USA, gdzie dostrzegli większe perspektywy pracy twórczej, część powróciła do demokratycznej już ojczyzny, licząc na większe możliwości kontynuowania twórczości artystycznej niż na emigracji. Nie ulega wątpliwości, że przybycie do Kanady nowej, stosunkowo młodej, wykształconej grupy, wpłynęło na kształt życia artystycznego diaspory polskiej i społeczności kanadyjskiej.

Dr Katarzyna Szrodt, *Polscy artyści plastycy w Kanadzie 1939-1989*, wyd. DiG 2020, 197 s., wybór fragmentów książki dokonany przez autorkę.

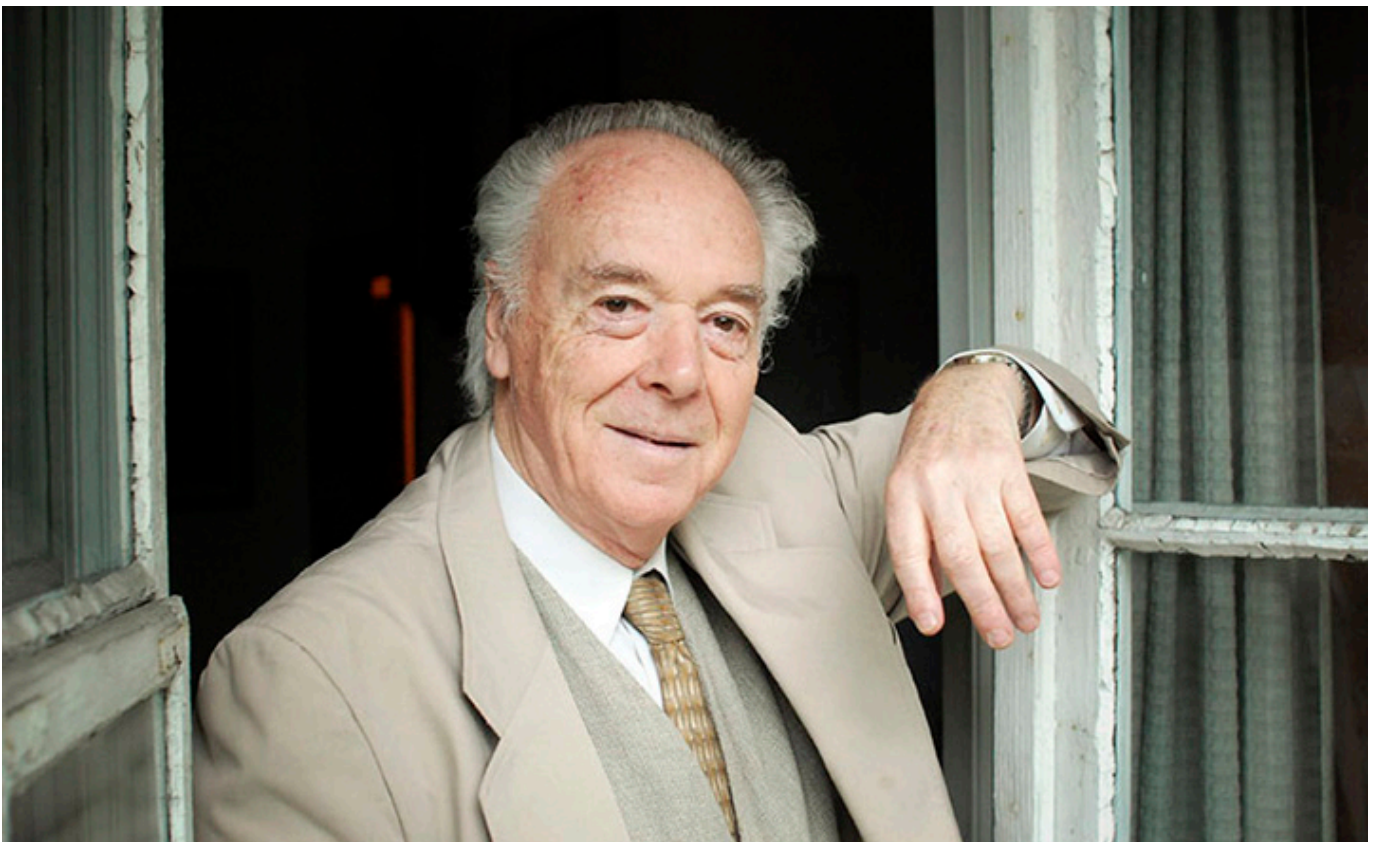
[1] *„The Gazette”, 1981, 14-th December*

[2] *Benedykt Heydenkorn :Nowa emigracja w Kanadzie, Kultura Paryska 1983, nr.7/8*

[3] *B. Heydenkorn, j.w.*

[4] *Jadwiga Kaczmarzyk-Byszewska „Gościńcami Kanady - na tropach polskiej kultury”, Warszawa 2012, str. 329*

„Duch Atlantydy” Jarosława Abramowa-Newerlego jako odtrutka na stereotypy



Jarosław Abramow-Nowylerly w swoim mieszkaniu, 16.05.2007 r., Warszawa, fot. Włodzimierz Wasyluk

Ewa Bagłaj (*Polska*)

O polskich akcentach w teatrze kanadyjskim pisał w 1987 r. Adam Tomaszewski (Adam Tomaszewski, *Ze sceny i estrady*, Toronto 1987). Długo jednak nie powstał dramat w języku polskim, dający obraz Kraju Klonowego Liścia z perspektywy naszej emigracji. Dopiero *Duch Atlantydy* (1994) Jarosława Abramowa-Newerlego wypełnił tę lukę.

„Dlaczego tak późno? Odpowiedź najprostsza z możliwych: zabrakło talentów i gdyby przypadek sprowadził Gombrowicza nie do Argentyny, do Buenos Aires, ale do Toronto, Montrealu czy Ottawy wynik może byłby podobny. „Gdybanie” takie ma jednak tę wadę, że właśnie pomija specyfikę miejsca i okoliczności, w jakich przyszło tu żyć Polakom, pisarzom polskim, których na gruncie kanadyjskim spotkała przygoda trudno porównywalna z losem innych emigrantów. Nie jest sprawą tylko talentu, choć z pewnością jest to czynnik niebagatelny, ale przede wszystkim biografii, że szansa jaką dla twórczości stanowił kraj wielokulturowy, kraj dialogu, ojczyzna „dożywotnich emigrantów”, wedle dowcipnego określenia Marka Kusiby, otworzyła się tak późno. Ale jednak się otworzyła”. (Jerzy Świąch, *Pomyślane przelotem...*, s. 36).

Co ciekawe, wątek kanadyjski pojawił się w twórczości Jarosława Abramowa-Newerlego na długo wcześniej, nim pisarz zaczął myśleć o emigracji. Dwadzieścia lat przed swoim wyjazdem w sztuce pt. *Derby w pałacu* wyrzuconemu ze swej posiadłości hrabiemu Dembopolskiemu kazał osiedlić się w stolicy prowincji Ontario.

Pamiętam, jak błędziłem palcem po mapie Kanady, w której nigdy nie byłem, wahając się między paroma miastami. Najpierw chciałem dać Winnipeg, ale w końcu zwyciężyło Toronto dzięki dźwięczniejszej nazwie (...) później (...) właśnie w tym Toronto wylądowałem. I tak jak mój hrabia w Derbach w pałacu poznałem los emigranta. (Jarosław Abramow-Newerly, „Granica sokoła...”, s. 13).

Los ten poznał nie tylko z autopsji. Bowiem materiał dla sztuki odnalazł on, podobnie jak w omawianych wcześniej książkach *Kładka przez Atlantyk* i *Pan Zdzich w Kanadzie*, pośród „samyh swoich”. Akcja rozgrywa się w polskiej dzielnicy Toronto, na ulicy Roncesvalles, którą mieszkańcy nazywają żartobliwie Rączymi Wałami lub Rączą Wólką.

Na każdego z moich bohaterów składa się co najmniej kilkanaście prototypów-autentyków, których kiedyś spotkałem. Oczywiście wszystkich odpowiednio przemieszałem, z każdego coś biorąc, z siebie również. Musiałem spędzić w Kanadzie osiem lat, wiele samemu zrozumieć, zobaczyć i poznać, aby ten inny świat opisać. (...) Podobnie jak w moich kanadyjskich opowieściach o panu Zdzichu, starałem się zachować wierność faktom. Wprowadziłem wiele

autentycznych nazw i nazwisk (...). (Tamże).

Bohaterowie to ludzie różnych narodowości. Większość reprezentuje Polonię, ale jest też Włoch, Indianin, Chińczyk, Żyd i Ukraińiec.

Chcąc przedstawić barwną mozaikę, jaką jest to miasto, kazałem niektórym postaciom mówić w ich ojczystym języku, licząc, że taka »chińszczyzna« wytrzyma próbę sceny. Teatr to nie tylko słowo, ale również gest, dźwięk, rekwizyt, obraz – wszystko to, co tworzy magię sceny. (Tamże).

O tym, jak wielką wagę przywiązuje autor do scenografii świadczą zaskakujące rekwizyty w poprzednich jego sztukach – konie w pałacu, kukły na dworcu, namiot w łaźni, szpital w ogrodzie czy ogromna szafa zamiast drzwi.

Taka sceneria potrzebna mi była nie dla absurdu zawieszonoego w uniwersalnej próżni, ale dla stężenia rzeczywistości. Niecodziennym podkreślałem codzienność. (Tamże).

Odpowiednikiem szafy, z której w *Klik-klaku* wylaniają się kolejni mężowie Kornelii jest w *Duchu Atlantydy* dawna „buczernia” (sklep mięsny, ang. *butcher* – rzeźnik), a potem magazyn, który bohaterowie przerabiają na Wielokulturowe Centrum Sztuki „Remstar”. Przygotowania do hucznego otwarcia są okazją do spotkań przedstawicieli starej i nowej emigracji zaangażowanych w przedsięwzięcie, którego celem jest „promieniować na inne mniejszości, z których składa się Kanada”. (Tamże, s. 14).

Kontakty między nimi stają się „smutną komedią omyłek, wzajemnym licytowaniem się w cierpieniach i jakże marnych radościach, klęskach i sukcesach” (Jerzy Świąch, op. cit, s. 35), co ma odzwierciedlać stosunki panujące w społeczności Rączych Wałów. Abramow-Newerly nieustannie, choć jak gdyby mimochodem porównuje te dwie emigracje: wcześniejszą prawdziwą, bo „z ducha” z tą ostatnią, która jest nią tylko z nazwy. Młodych łączy wspólna cecha – sprowadziła ich do Kraju Klonowego Liścia wizja Eldorado, chęć zrobienia błyskotliwej kariery na tej ziemi obiecanej. Od nowa powtarzają lekcję, którą starsze pokolenie ma już za sobą. Jak każda kolejna

fala emigracji muszą zdobyć doświadczenie na własnej skórze. Pytanie tylko, o co ci nowi, liczący przede wszystkim na życiowy fart, wzbogacą dorobek swych poprzedników? Bowiem w ocenie tych ostatnich wyglądają raczej błado:

„Te nowe po SOLIDARITY na łatwy chleb idą. Nie chce im się tyrać jak nam (...) Chytre są” (Jarosław Abramow-Newerly, *Duch Atlantydy..*, s. 1) - to głos Józefa Rydla. (Skojarzenie z dramatem Wyspiańskiego nie jest przypadkowe. *Duch Atlantydy*, wzorem innych sztuk Abramowa-Newerlego, odsyła do klasyki dawnej (*Dziady*, *Wesele*) oraz nowszej (*Miazga*, *Transatlantyk*, *Ślub*).

Należy on do trzeciego pokolenia osadników; jego pradziad karczował kanadyjską puszcę. Weteran bitwy pod Monte Cassino, ciężką pracą doszedł do obecnego majątku - jest właścicielem sieci sklepów wędliniarskich „Baca Delicatessen”. Zna cenę, jaką trzeba zapłacić za powodzenie w życiu i ma prawo czuć się pełnoprawnym obywatelem wielokulturowej, zasobnej Kanady, która takim jak on zawdzięcza swoje dzisiejsze oblicze. Do Rydla należy lokal, w którym ma powstać galeria sztuki nowoczesnej. Wynajmuje go polonijnym artystom nieodpłatnie, kierowany żywym sentymentem do kraju przodków. „Remstar Center” ma pomóc uganiającym się za pracą i zyskiem rodakom odzyskać równowagę między przyziemnymi interesami a duchowością:

(...) musimy to zrobić dla siebie, żeby do reszty nie zbaranieć. (...) Pytasz, kto przyjdzie. My. My przyjdziemy. Do siebie. Wrócimy do normy, oderwiemy się od posadki-posadzki (...) za młotek i przerabiamy tę kielbasiarnię. To nasza ostatnia szansa. (Tamże, s. 11).

W ten sposób główny inicjator przedsięwzięcia, artysta plastyk Rem, przypomina Kubie, „lingwiście-komparatyście”, jakie ideały przywiodły ich wszystkich do Kanady. To pragnienie odnalezienia własnego rajy pchnęło ich za ocean. Dla doktora lingwistyki porównawczej jest nim „własna wieża Babel. Wszystkie języki świata”, które studiuje... w chwilach wolnych od pracy przy czyszczeniu szpitalnych podłóg. W Polsce nic nie stało na przeszkodzie rozwojowi jego kariery naukowej, zarabiał dodatkowo jako autor tekstów popularnych piosenek. Nie wyjechał więc z konieczności czy istotnej potrzeby, jak czynili to wcześniej uchodźcy polityczni. Raczej „ucieka od siebie, chce spalić mosty nie z krajem, lecz z ludźmi, z którymi nie

potrafił żyć dalej”. (Jerzy Świąch, op. cit, s. 35).

Teorie, którymi uzasadnia swoją emigrację, pokazują go jako ofiarę własnych złudzeń. Kiedy otwiera się przed Julią, młodą aktorką o wysokich aspiracjach zawodowych, mówi o swej wierze w „Remstar” i Remigiusza. Chce, by to centrum odegrało w Kanadzie podobną rolę jak „Kultura” Giedroycia w Europie Zachodniej.

Daję mu szansę. Nawet w tym sklepie. Jeśli nie wielokulturowość i przenikanie, to co? (...) Rzeź? Kolejna jatka? Kocioł bałkański już wrze. (Duch Atlantydy, s. 35).

Dziewczyna jednak domyśla się prawdy, z której on sam może nie do końca zdaje sobie sprawę:

Albo zwiąłeś od siebie, albo od żony i udajesz błędnego rycerza. Nowego Don Kichota. Wymachujesz „Kulturą” i wpierasz we mnie, że ty to oni. Rzniesz dziedzica. Oni mieli swój cel, a ty słowniczek, wieżę Babel. NO, MY DEAR. AMERICAN DREAM cię zżera. Ja chcę być gwiazdą, ty nią byłeś, ale liczysz na więcej, a Remstar buduje kosmodrom i właśnie ma zamiar odpalić. Taka jest prawda. Nieco upierdliwa, ale uczciwa. Innej nie ma. (Tamże, s. 40).

Julia wie o tym, bo sama – mając w Polsce angaż w najlepszym teatrze – zaryzykowała próbę wybicia się za oceanem. Tymczasem kariera gwiazdy filmowej, o jakiej marzy, oddała się coraz bardziej. Póki co, utalentowana artystka zarabia w reklamówkach, wbita w kostium gąski z wielkim brzuchem-atrapą. Skromna klitka, którą wynajmuje przy dawnej „buczerni” też ma się nijak do amerykańskich standardów. Dlatego Julia nie chodzi na przedstawienia do Jane Mailet Theatre – teatru w centrum Toronto, wynajmowanego na gościnne występy bardziej reprezentacyjnych zespołów przyjeżdżających z Polski.

Rozleciałabym się. A i przed kolegami wstyd. Julia. (gest fruwanina) Nie z Szekspira. APARTMENT też niezbyt. Jak na Kanadę. (Tamże, s. 47).

Swój „amerykański sen” od dawna próbuje realizować Remigiusz, a zakładana galeria ma pomóc mu wreszcie zabłysnąć. Przecież po to tu przyjechał.

Muszę być naj, naj. Wspiąć się na sam szczyt. (Tamże, s. 20).

W nieustannych sprzeczkach z żoną, której w nowej ojczyźnie powodzi się znakomicie, odkąd uzyskała doktorat i otworzyła prywatny gabinet stomatologiczny, wypływa ten sam problem. Ona zarzuca mu, że nie umie przestawić się na rodzaj twórczości, który tu się podoba. Dlatego zamiast błyszczeć, od dziesięciu lat jest na dnie. On wzbrania się przed pójściem na komercję, zarzuca Tamarze zaślepienie dolarami:

Ona tylko tym mierzy wielkość. (gest liczenia pieniędzy) Byle się sprzedawało. A ja nie chcę! Nie zrobisz ze mnie straganiarza! (Tamże, s. 21).

Tamara interpretuje jego rozgoryczenie po swojemu. Odcina się:

A widzisz, jak to miło. Być dodatkiem. Teraz ty jesteś mężem dentystki. Role się odwróciły na tym kontynencie. (Tamże, s. 18).

Skarży się Kubie:

On mógł mieć w pracowni modelki, a ja nie mogę mieć w OFISIE nawet kolegi od leczenia przewodowego, bo już krzyk! Taki ścisły nadzór był dobry w PRL, ale nie tu! Tu wolny kraj, kochany! Kobiety są INDEPENDENT. (Tamże).

W rozmowach większość z kilkunastu (aż) postaci dramatu obnaża pustkę, z którą sobie nie radzi. Obiecująca z polskiej perspektywy Kanada, po drugiej stronie Atlantyku okazała się trudnym wyzwaniem. Testem na wytrzymałość w nowych warunkach życia:

Kanada to sprawdzian. Nikogo nie obchodzi, kim byłeś. Tu jesteś nikim. (...) Musisz zmartwychwstać. Urodzić się po czasie. (Tamże, s. 10).

Szukając swego miejsca w Kraju Klonowego Liścia, bohaterowie przymierzają się wciąż do nowych ról. Powiada Kuba:

Wszyscy jesteśmy kameleony. Nie wiemy, w jaką skórę wejść. (Tamże, s. 51).

A reprezentacyjna, zawsze modnie ubrana i uczesana Tamara, stwierdza:

Tu bez formy ani rusz. CHEESE (szczyrzy zęby w uśmiechu) To ułatwia życie. (Tamże, s. 25).

Ten obowiązkowy *good looking*, którego esencją jest wieczny uśmiech jak gdyby przyklejony do ust, choć wymaga nieustannej czujności, bardzo ułatwia życie. „Nikt duszy nie wybebesza”. (Tamże, s. 51).

Tymczasem każdy z bohaterów nosi w sobie jakąś tajemnicę. Za fasadą samozadowolenia kryją się w ich duszach upiory przeszłości. Przechowane w pamięci, przewieźli je wbrew własnej woli na drugi brzeg oceanu. Bo nie da się uciec od samego siebie. Przekonują się o tym w noc Halloween, kiedy to – paradoksalnie – zostaną zmuszeni do zrzucenia masek. Wyzwolone z ich wnętrza upiory zmieniają te niby Zaduszki w torontońskie *Dziady* i *Wesele* zarazem. Lady Simpson, główna fundatorka Centrum Kultury, zaproszona na happening z okazji jego otwarcia, nieoczekiwanie odkrywa przed Kubą twarz jego dawnej kochanki z Polski, Róży. Okazuje się, że nie udało mu się spalić za sobą mostów. Dawna „dziewczyna z majowym bzem”, jak określił ją w słowach piosenki, również wyjechała za granicę. By zapomnieć o aborcji, do której niegdyś ją nakłonił. O tym, że Kuba mieszka w Toronto, dowiedziała się przypadkiem.

Uświadomiłeś mi, że nie da się... (gest odcięcia) Coś zostaje. Nawet jak się wyrwie z siebie wszystko. Dosłownie i w przenośni. (...) Zrozumiałam, że coś zostało. Nie pomogły oceany i kontynenty. (Tamże, s. 110).

Wszystko bowiem się na tym świecie łączy. Dokładnie tak, jak w przygotowanym na otwarcie *show*, gdzie w odrealnionym chocholim korowodzie podążają: Ksiądz, Młoda Para, mężczyzna z wózkiem dziecięcym i Sekretarz z Szoferem niosący na barkach trumnę. Marsz weselny miesza się z pogrzebowym, a bohaterowie spektaklu skandują w różnych językach: „Zaślubiny! Narodziny! Śmierć!”

Tytuł dramatu autor świadomie skojarzył z duchem Jałty, do czego przyznaje się w *Słowie od autora*:

Zauważyłem, że wciąż się snuje dopadając nas w różnych miejscach. Mnie nawiedzał i w Toronto i w San Diego. Tutaj, na tym kontynencie zrozumiałem, że nigdy się od niego nie uwolnię.

Rozumie to również Kuba, któremu ukazał się najpierw duch Stalina, a potem Stalina z Churchilem. Obaj palili fajki i z uśmiechem „trzymali się przyjaźnie za ręce”.

Gdzie Rzym, gdzie Krym, gdzie Toronto, a duch straszy. I Atlantyck nie pomógł. (...)

Bo wszystko się wiąże, o, tak! (splata ręce jak haki) Tak, rozumiesz? Nawet jak nam się zdaje, że dawno pogrzebane na dnie oceanu (podchodzi do pnia i uderza siekierą). Tylko w rzeźni można coś odciąć. Na amen. W życiu tak nie ma. Niestety. (Tamże, s. 95 i 146).

Słucha tego Julia, która później zrywa męczący i nie dający jej poczucia bezpieczeństwa związek z żonatym Carlem, reżyserem reklamówek. Decyduje się wracać do Polski. Bo Kanada nie zapewni nikomu tego, czego nie potrafi on osiągnąć we własnym kraju, nie wyleczy z kompleksów ani nie rozwiąże zaległych problemów.

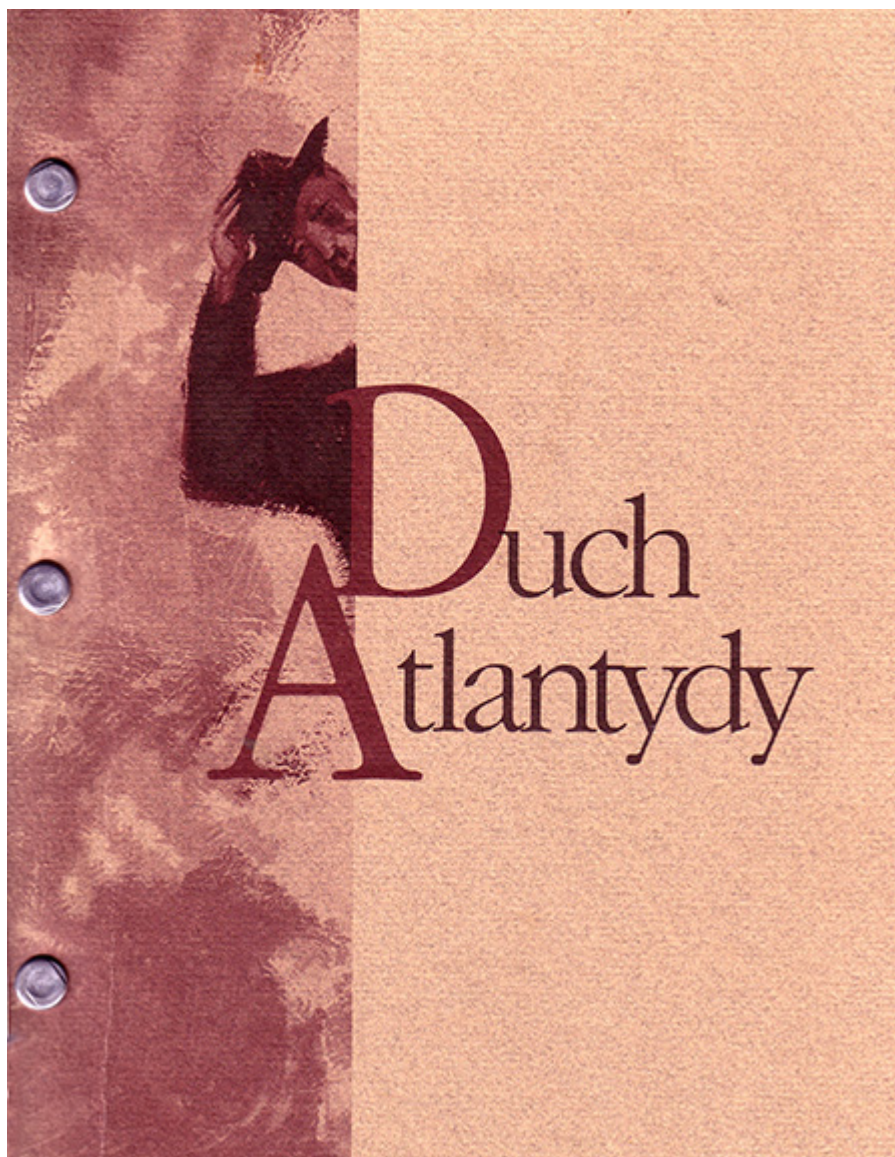
Duch Atlantydy, podobnie jak dramat Wyspiańskiego, kończy się patem. W dniu uroczystego otwarcia centrum, dopracowanego w najdrobniejszych szczegółach, organizatorzy uświadamiają sobie z przerażeniem, że nikt nie przyjdzie, bo... w tym czasie hokeiści grają o mistrzostwo Kanady.

Okazuje się, że tylko tradycję kiszonych ogórków i kiełbasy da się zachować. Trzeba będzie znów otwierać BUCZERNIE – stwierdza z rezygnacją Kuba. (Tamże, s. 152).

Sytuacja wraca więc do punktu wyjścia. Ale czy na pewno nic się nie zmieniło? „My przyjdziemy. Do siebie” – obiecywał Rem. A teraz Rydel, któremu do tej pory posługiwanie się mową ojców przysparzało wiele trudności, poprawia językoznawcę nieskazitelną polszczyzną:

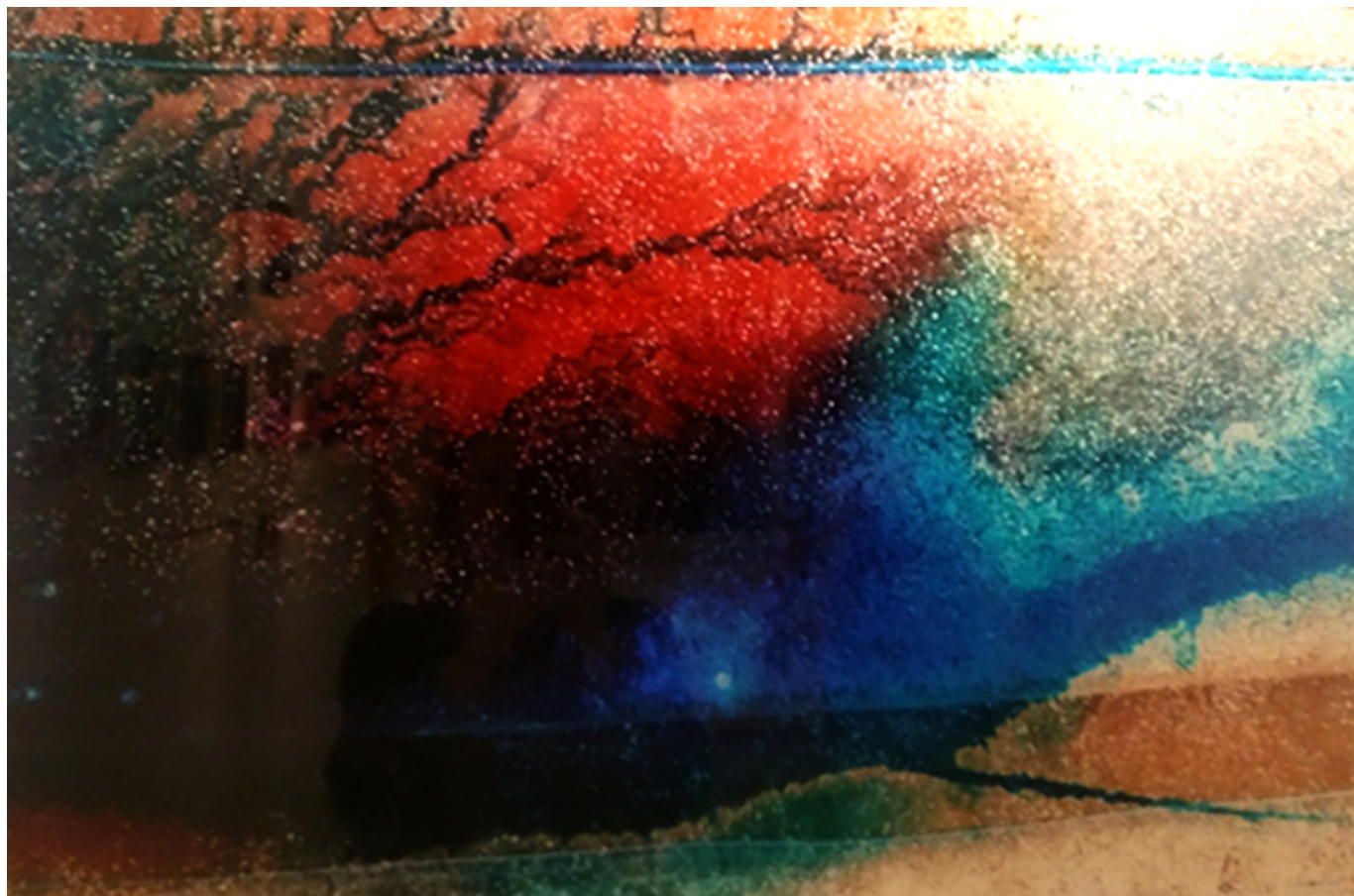
Sklep mięsny, chciał pan powiedzieć. Wędliniarnię. Po polsku „Delikatesy Baca”. (Tamże).

Dzieło Jarosława Abramowa-Newerlego to odtrutka na stereotypy. Choć umieszczenie akcji w konkretnym zakątku Toronto sugestywnie oddaje koloryt lokalny miejsca, nie obraz dzielnicy jest tu celem numer jeden. Sceneria kanadyjskiej metropolii pomaga uzyskać prawdę i realizm przedstawionego świata. Tak jak w innych swoich utworach, wzorem Wańkowicza pisarz stawia w centrum zainteresowania to, co polskie. Wartość *Ducha Atlantydy* tkwi przede wszystkim, jak zauważa Jerzy Świąch, w kataraktycznej funkcji, która polega na „wyzwoleniu się z okowów polskości, jak - *sit comparare licet* - w *Transatlantyku* Gombrowicza”. (Jerzy Świąch, op. cit, s. 36).



Jarosław Abramow-Newerly, Duch Atlantydy, sztuka w dwóch częściach, Teatr Polskiego Radia, premiera 28 października 2005 r., reż Waldemar Modestowicz, wystąpili m.in. Zbigniew Zamachowski i Wiesław Michnikowski.

Ewy Dorynek-Scheer „Obrazy Takie w Klimacie”



Ewa Dorynek-Scheer, Nocne niebo twojego dzieciństwa.

Katarzyna Szrodt (*Montreal*)

Ewa wyjechała z Polski do Kanady z mężem Andrzejem Maciejewskim, znanym dziś w Kanadzie fotografikiem, w 1985 roku. W Polsce studiowała psychologię i filozofię. Podczas studiów, na letnim plenerze fotograficznym po raz pierwszy eksperymentowała z *ice paintings*, malując na lodzie i fotografując efekt przenikania się lodu i farb. Małżeństwo nie wytrzymało trudów emigracji. Już w drugim związku, Ewa Scheer powróciła do przerwanych pasji artystycznych. W latach 1987-1992 studiowała *fashion design* na Ryerson Polytechnical Institute uzyskując licencjat ze sztuki użytkowej oraz na University of Regina w Saskatchewan, w 1991 roku, zdobywając Master of Fine Arts. Z upływem lat artystka rozwijała technikę *ice*

paintings świadomie zmierzając w stronę malarstwa ekologicznego. Prace jej są barwnym, niepowtarzalnym dziełem malarskim stworzonym jednocześnie przez artystkę i naturę. W 2016 roku dużym powodzeniem cieszyła się wystawa Ewy Scheer w Kingston/Ontario, w Gallery Studio 22 - *ice paintings* powiększone do dużych skali prezentowały się imponująco. Idąc dalej w stronę ścisłej współpracy z naturą, artystka przygotowała serię wykładów poglądowych dotyczących relacji między sztuką, człowiekiem, środowiskiem i przemysłem, które od 2016 roku wygłasza gościnnie. Ewa jest laureatką konkursu „Saving Face” w Living Arts Centre/Mississauga 2011; jest finalistką konkursu Kingston Prize - Canada National Portrait Competition 2011 i 2019; Spirit of the Land w 2011 roku i Space w 2012 roku w MVS Gallery/Brockville, Kanada. W 2016 roku artystka była na rezydencji w L’Atelier sur Seine w Hericy we Francji.



Artystka na tle swoich prac.

Jak wielu artystów polskich tworzących poza granicami, Ewa Dorynek-Scheer chciała zaprezentować swój dorobek w kraju rodzinnym, gdyż konfrontacja z rodzimym środowiskiem artystycznym daje artyście szczególną satysfakcję i dodatkowe bodźce, których często brak w kraju osiedlenia. Wystawa „Obrazy Takie w Klimacie” zorganizowana została w domu kultury PROM w dzielnicy Saska Kępa w Warszawie. Artystka zaprezentowała serię miniaturowych, abstrakcyjnych obrazów malowanych barwnikami spożywczymi i nietoksycznymi środkami koloryzującymi na płytach lodu. W trakcie tworzenia czas trwania tych miniaturowych obrazów zależy wyłącznie od warunków pogodowych - temperatury, wilgotności, siły wiatru. Temperatura otoczenia i właściwości lodu są ważnym czynnikiem procesu twórczego - stąd artystka nazywa swoje prace „klimatycznymi meteografami”. Ostatnim etapem tworzenia jest Diasec- proces technologiczny, w którym zespała się fotografie ze

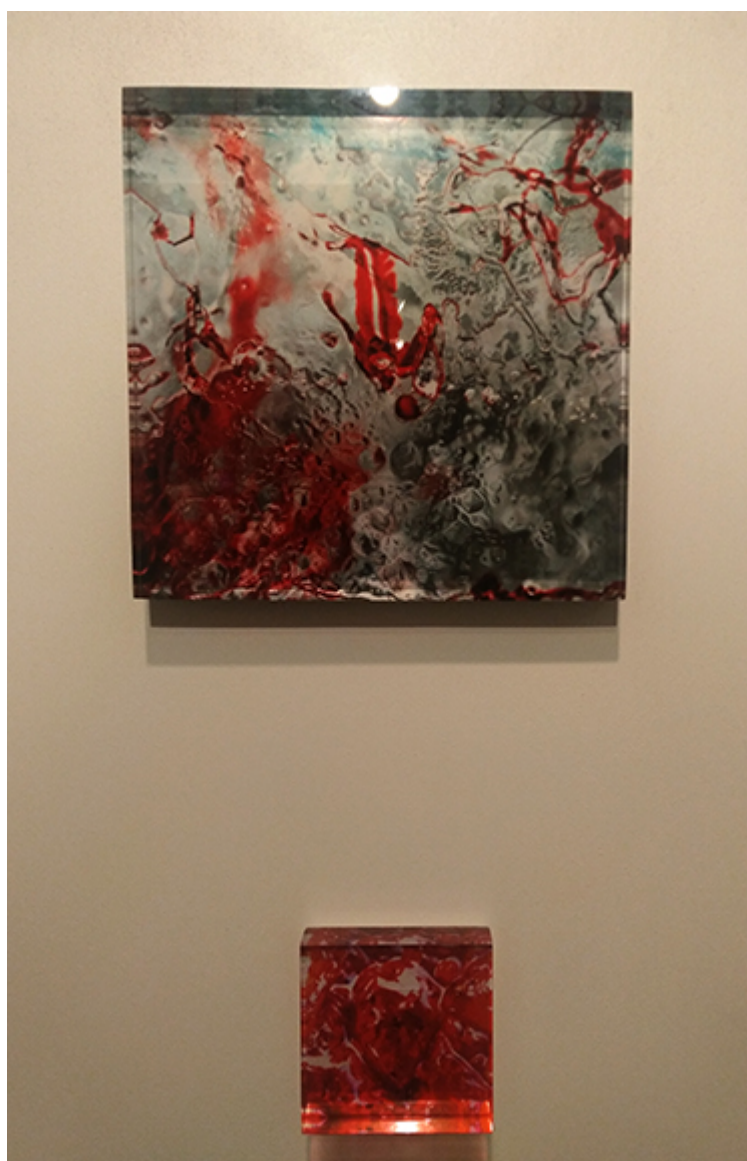
szkłem akrylowym imitującym grube tafle lodu.



Ewa Dorynek-Scheer, Rembrandt Nebula.

Meteografy Ewy Dorynek-Scheer dotyczą momentu, przypadku i zaskoczenia, jakie sprawia artystce natura. Efekty zaskakują pomysłowością. Niektóre przypominają przestrzeń kosmiczną, inne są jak światy podwodne lub wnętrze organizmu. Jest to niekończąca się inwencja form i kształtów. Jednak drugą stroną tego ekologicznego procesu twórczego jest świadomość, że chociaż używane materiały są nietoksyczne, to malowanie na lodzie jest wprowadzeniem do lasu ingerencji człowieka i uprzemysłowionej kultury ludzkiej. Obrazy „narzucają się” naturze, podobnie jak ludzka cywilizacja „narzuca się” niszcząc środowisko naturalne. Czy istnieje wobec tego relacja idealna, nieinwazyjna, między twórcą i naturą? Jest to pytanie

pojawiające się w trakcie oglądania wystawy. Paradoks – nawet współpracując tak blisko z naturą, artysta przekształca środowisko i ingeruje w nią. Obrazy lodowe mówią o naturze, ale proces produkcji wykorzystujący metal, plastik, lakiery – naturę niszczy. Kolejny paradoks, który uświadamia nam jak groźne procesy destrukcyjne wyzwolone zostały przez naszą cywilizację. Czy sama świadomość tego faktu ocali nas przed ekologiczną zagładą? Przyszłość przyniesie odpowiedź na pytanie. W przestronnej sali wystawowej domu kultury, na białych ścianach, jak na śniegu, prace prezentowały się ciekawie, a tajemniczy świat lodu i kolorów – będący owocną współpracą artystki i natury, zachwycał nieskończoną wielością form.



Ewa Dorynek-Scheer, Głową w dół; Organ współczucia.

Szacunek dla historii



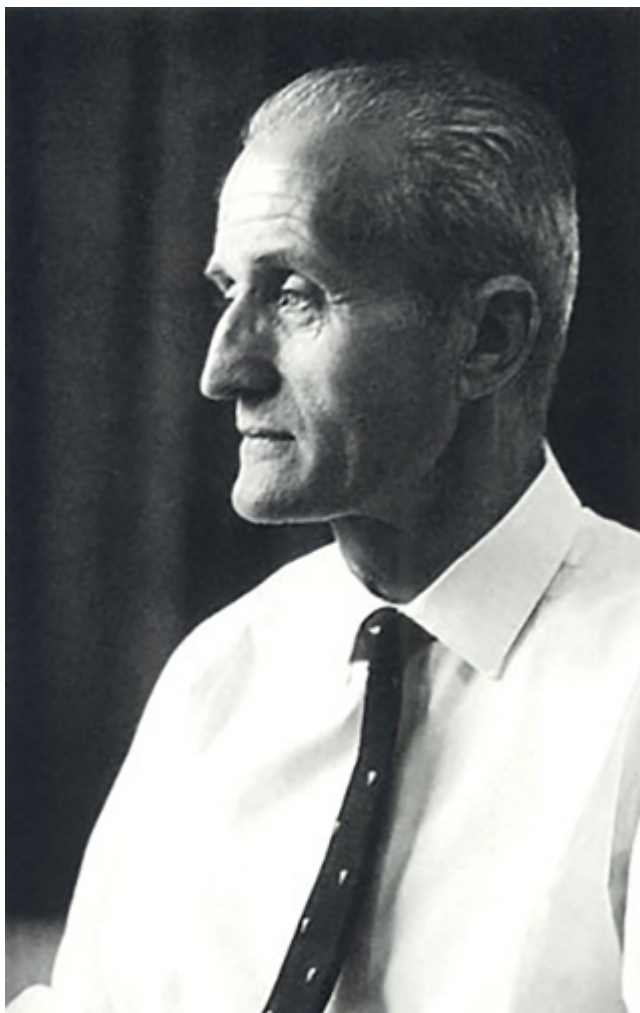
Józef Garliński z żoną Eileen, Londyn, lata 70. XX w., fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Historyk Józef Garliński (1913-2005) bezustannie przypominał Anglosasom o polskim wkładzie w II wojnę światową. Dopominał się o uznanie zasług Polaków w rozpracowaniu niemieckiej maszyny szyfrowej Enigma, informował o nieznanym aspekcie obozu zagłady Auschwitz wydając książkę "Fighting Auschwitz" o organizowanym przez Polaków ruchu oporu, mającym za zadanie przechwycenie

władzy w obozie w odpowiednim momencie.

Gdy zaproszony przez Klub Dyskusyjny do London, Ontario, przyleciał z Londynu, lokalna gazeta kanadyjska opublikowała ogromne zdjęcie jego przedramienia z numerem oświęcimskim, wywołując konsternację i wielką dyskusję.



Józef Garliński, fot. Biblioteka Uniwersytecka KUL.

Z czasem Garliński stał się instytucją, po upadku rządów komunistów w Polsce odwiedzał kraj z odczytami. Spotkałem go we Wrocławiu, w Anglii wręczył mi nagrodę literacką w 1991 roku. Długo piastował prezesurę Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, był ambitny, ale także ofiarny i pracowity, a do społecznej pracy niewiele się paliło.

Po wielu latach urzędowania zastąpił go prof. Mieczysław Paszkiewicz, poeta i historyk sztuki, ale wkrótce zmarł i wtedy jego funkcję objęła poetka i długoletni wydawca Oficyny Poetów i Malarzy, Krystyna Bednarczyk.



Bohdan Jan Ejbich

Witałem sagę o polskiej eskadrze myśliwskiej 303 "A Question of Honour" Lynn Olson i Stanley'a Clouda kilka lat temu z entuzjazmem i miło mi, że gościliśmy autorów w Toronto i że ich książka wydana została po polsku. Pamiętam jeszcze, że wystarczyło w owych czasach entuzjazmu dla polskich lotników - nosząc polski mundur wojskowy, nie płaciło się za transport publiczny w Anglii.

Tę sławę polskich skrzydeł pomnażał także mieszkający w Toronto, a zmarły w 2013 r. w wieku 97 lat, inż. Bohdan Ejbich. Zapisawszy piękną kartę bojową, 44 loty bombowe, jako kapitan pilot po kilku latach w Anglii przeniósł się do Kanady, gdzie dał się poznać jako wiarygodny społecznik i autor ośmiu książek opowiadających o

przeżyciach własnych, a także kolegów i towarzyszy, m.in. legendarnego płk. Bolesława Orlińskiego.

Janusz Żurakowski. Zapiski z łąki.



Janusz Żurakowski na swojej łące, fot. M. Kusiba.

Marek Kusiba (*Toronto, Kanada*)

Z wysokości trzech kilometrów łąka na skraju ontaryjskiego jeziora Kamaniskeg wygląda jak znaczek pocztowy przyklejony do zielonej koperty. Łakę wypatrzył pilot doświadczalny z kabiny testowanego supersonicznego myśliwca przechwytyjącego, którego zadaniem miała być obrona Ameryki Północnej przed rosyjskimi

bombowcami. Gdy w 1959 roku zlikwidowano produkcję najlepszego samolotu świata tamtej doby - na własne życzenie rządu kanadyjskiego - pilot wraz z rodziną osiedlił się na upatrzonej łące. Wkrótce przyjechali inni, łąka zakwitła namiotami, powstała mała ojczyzna Polaków. Nazwisko pilota: Janusz Żurkowski. Nazwa myśliwca: CF-105 Avro Arrow. Adres małej ojczyzny: „Kartuzy Lodge”, 1 Arrow Drive, Barry’s Bay, ontaryjskie Kaszuby.

20 lutego minęło 60 lat od dnia, który zapisał się czarną kartą w historii Kanady, a w życiu Janusza Żurkowskiego wyznaczył cezurę: zakończył życie lotnicze, a rozpoczął - osadnicze. W tym roku mija także 105 rocznica urodzin i 15 rocznica śmierci pułkownika Żurkowskiego - we własnym łóżku, w sędziwym wieku lat 89. Popularny w Kanadzie „Żura” spędził łącznie w powietrzu blisko trzy lata, będąc zawsze wierny zasadzie, że są dobrzy lotnicy i... starzy lotnicy.

Ziele na kraterze, mała świnka i Merian Cooper

Pana Janusza znałem blisko dwadzieścia lat, rozmawialiśmy przeważnie o lataniu, jako że pochodzę z lotniczej rodziny. Z panią Anną Danielską-Żurakowską rozmawialiśmy z kolei o literaturze. A zaczęło się wszystko od... Melchiora Wańkowicza: pani Anna dobytek kiedyś z szuflady położyła listy i *Ziele na kraterze* z dedykacją autora, odwiedzającego Żurakowskich 7 czerwca 1954 roku:

Państwu Januszowstwu Żurakowskim z życzeniami, aby ich przemiłe „ziele” nie wzrastało na żadnym już - kraterze.

Anna Danielska-Żurakowska pisała wiersze, studiowała romanistykę, była też dziennikarką radiową. Razem z Julią Hartwig i Anną Kamińską, jej szkolnymi koleżankami, pisały w czasie okupacji sztukę dla rannych żołnierzy. Potem drogi ich się rozeszły. Danielska uciekła do Francji, by poślubić miłość swej wczesnej młodości, oficera lotnictwa, jednego z bohaterów bitwy o Anglię i lotnictwa brytyjskiego po wojnie, gdy bił międzynarodowe rekordy i wymyślał figury akrobacyjne, będące dotąd nie do pomyślenia. O Januszu Żurkowskim wiedziałem (prawie) wszystko, pytałem więc o sztukę, ale pani Anna wolała mi opowiedzieć o... małej śwince, którą widziała u chłopca, gdy ją gonił dookoła podwórka bez wyraźnego powodu. Zapytała wreszcie, po co to robi? A on na to, że Niemcy kazali mu ją z rana

odstawić na punkt i że on chce im ją oddać nieco chudsza...

Z panią Anną i panem Januszem rozmawialiśmy także o Macieju Słomczyńskim, kongenialnym tłumaczu *Ulissesa*, którego ojciec, Amerykanin Merian Cooper był współtwórcą Eskadry Kościuszkowskiej i wraz z 20 amerykańskimi lotnikami walczył ramię w ramię, a raczej skrzydło w skrzydło z Polakami w wojnie polsko-bolszewickiej. Późniejszy Dywizjon 303, „Kościuszkowski”, godny spadkobierca dokonań zaczątku „Legionu Amerykańskiego” w lotnictwie II RP, okazał się najlepszym dywizjonem Bitwy o Anglię, w której walczyli także mieszkający tuż obok siebie na ontaryjskich Kaszubach Janusz Żurakowski oraz Kazimierz Szrajer, który zaczynał od roli mechanika w Dywizjonie 303, a potem w Eskadrze Specjalnego Przeznaczenia latał w „mostach powietrznych” do okupowanej Polski, podczas blokady Berlina i do głodującej Biafry.



Fot. M. Kusiba.



Arrow Drive - dróżka dojazdowa do Kartuzy Lodge, fot. M. Kusiba.

Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału...

Historia Janusza Żurakowskiego bierze swój początek na kresach dawnej Rzeczypospolitej w roku wybuchu pierwszej wojny światowej: urodził się 12 września 1914 roku w Ryżawce niedaleko Kijowa. Jego ojciec ukończył medycynę i był lekarzem fabrycznego osiedla tamtejszej cukrowni. Po wybuchu rewolucji w Rosji rodzina Żurakowskich herbu Sas straciła dobra dziedziczne Żytniki niedaleko Humania. Gdy wschodnie granice Polski ustalono w Traktacie Ryskim, Żurakowscy w marcu roku 1921 postanowili przedostać się do odrodzonej z popiołów Rzeczypospolitej.

Podróż trwała kilka tygodni. Wozem konnym, z pięciorgiem dzieci. Mały Janusz miał siedem lat. Przekradali się nocą. Przez granicę przeprowadził ich kurier-przewodnik. Dotarli do Garwolina, gdzie ojciec Janusza otrzymał posadę lekarza powiatowego. Później, w roku 1927 rodzina przeniosła się do Lublina. Jan trafił do gimnazjum im. Stanisława Staszica. - Do nauki nie wykazywałem zbytniego zapału - mówił - za to, za przykładem starszego brata Bronisława, który był entuzjastą lotnictwa i budował szybowiec, dużo czasu poświęcałem budowie modeli latających.

Pierwszy w życiu lot odbył w roku 1929, w Lubelskim Klubie Lotniczym. Lot był nagrodą za pierwsze miejsce w wojewódzkim konkursie modeli latających. Ta krótka

chwila w powietrzu związała Żurakowskiego z lotnictwem na całe życie. Pomysł zostania lotnikiem sprowadził mu na głowę gwałtowny sprzeciw ojca, który zadbał o to, żeby koledzy-lekarze z komisji w Centrum Badań Lotniczych w Warszawie „odwalili” 18-letniego kandydata na kurs szybowcowy. Januszowi rzekomo doskwierała „gruźlica obojczyka”.

Był wściekły, ale nie złożył broni: zapisał się na kurs i samodzielnie oderwał się od ziemi w Szkole Szybowcowej Polichno-Pińczów. Zdobył kategorie pilotażu A i B. Podczas następnych wakacji, na kolejnym obozie szybowcowym, uzyskał kategorię C. Było to już po majowej maturze. Jego brat Bronisław studiował na warszawskiej Politechnice, siostry też wybierały się do stolicy na studia. Janusz zdecydował się ulżyć finansom ojca: zgłosił się na ochotnika do wojska. Jako maturzysta miał prawo wyboru broni. Wybrał oczywiście Szkołę Podchorążych Rezerwy Lotnictwa w Dęblinie.

Lotnicze ziarna i pęknięta czaszka

Dęblińską Szkołę Orłąt ukończył w roku 1937, w stopniu podporucznika pilota. Tuż po uroczystej, dziesiątej promocji, wybrał się na urlop wakacyjny na szybowisko w Pińczowie. Odbył tam piętnastogodzinny lot na szybowcu Komar, co było dużym osiągnięciem biorąc pod uwagę dość prymitywną konstrukcję szybowca i warunki latania. Startowało się wtedy bez użycia samolotów holujących, ani mechanicznych wyciągarek, za to przy pomocy dwóch lin gumowych i sześciu ludzi, którzy na komendę „naciągaj” ruszali pędem w dół zbocza naprężając liny, a szybowiec wyskakiwał w powietrze jak z procy.

W lipcu 1938 roku podporucznik Żurakowski wybrał się na kolejny urlop do znanej już w Europie Akademii Szybowcowej w Bezmiechowej na Podkarpaciu. Akademia zasłynęła w maju owego roku, gdy jeden z jej młodych pilotów, Tadeusz Góra, po starcie z Bezmiechowej doleciał aż pod rodzinne Wilno, bijąc rekord świata długości przelotu (578 km) i zdobywając pierwszy na świecie Medal Lilienthala. A rok wcześniej Wanda Modlibowska latała nad tym bieszczadzkiem szybowiskiem 24 godziny i 14 minut, bijąc rekord świata długości lotu Hanny Reitsch, zwanej „pilotką Hitlera”.

Takie lotnicze ziarna kiełkowały w duszy Żurakowskiego. I on próbował

Bezmiechowej, lecz nawyki z szybkich samolotów myśliwskich o mało nie doprowadziły do tragedii. Zaraz po starcie położył szybowiec Delfin w zbyt ostry skręt, uderzając w świerk na stoku. Młody lotnik rozbił sobie głowę i z czaszką pękniętą na długości ośmiu centymetrów najpierw wydostał się z kabiny i zszedł z drzewa, a potem dowlókł się do zabudowań Akademii na szczycie góry – ale nie pamiętał, jak tego dokonał.

Zabawy w kotka i myszkę z Dornierami

Jesienią 1938 roku latał już na samolocie PZL-11 w 161 Eskadrze Myśliwskiej Szóstego Pułku Lotniczego we Lwowie. Głowa zagoiła się, a myśli coraz częściej zaczęła zaprzętać wojna. Został odkomenderowany ze swego Pułku do Dywizjonu Specjalizacji Myśliwskiej w Ułężu pod Dęblinem. Wojna wisiała na włosku podczas ostatniego lata tamtej epoki, które młody pilot Żurakowski spędził, jak zwykle, na lotnisku. Aż wreszcie spadła wojna na Polskę jak jastrząb z nieba.

- Wystawiliśmy w pogotowiu trzy stare „pezetelki siódemki” [PZL-7], samoloty używane do nauki strzelania – wspominał pan Janusz. W czasie jednego z nalotów na Dęblin przeszedłem swój chrzest bojowy. Mój stary samolot szkoleniowy miał małą szybkość i gdy tylko zaczynałem strzelać do bombowców, Niemcy dodawali gazu i Dorniery mi uciekały, by za chwilę zwolnić i strzelać do mnie. Wynik tej zabawy w kotka i myszkę był znikomy: za jednym bombowcem wlokła się biała smuga paliwa z przestrzelonego zbiornika, a ja miałem kilka niegroźnych dziur w skrzydle.

Gdy siedemnastego września 1939 roku pojawiły się na niebie dwusilnikowe, pękate samoloty z czerwonymi gwiazdami, pilot Żurakowski wiedział, że to początek końca. Polska nie miała żadnych szans w walce na dwa fronty. Przyszedł rozkaz ewakuacji personelu lotniczego do Rumunii, gdzie doszły lotników wieści, że Anglia wysłała dla polskich pilotów statek wyładowany myśliwcami Hurricane. Lecz Rumunia w strachu przed Hitlerem zamknęła pilotów w obozach internowania.

Żurakowski „zmienił” zawód na „leśnik” i po wielu perypetiach udało mu się razem z grupą lotników w cywilnych ubraniach wypłynąć z portu Balcic nad Morzem Czarnym. Po tygodniu zawinęli do Bejrutu, potem odплыnęli francuskim statkiem do Marsylii. Wojna rozgorzała na dobre, a kilka tysięcy młodych lotników i personelu naziemnego z Polski oczekiwało na decyzję komisji polsko-brytyjsko-francuskiej,

która w końcu zdecydowała i o losie porucznika Żurakowskiego: pod koniec stycznia 1940 roku znalazł się w Anglii.



Avro Arrow w locie, fot. z archiwum Żurakowskich.

Wstręt do angielskiej herbaty i śmietanka lotników

Anglicy z początku nie dowierzali sile ducha i lotniczego talentu młodych myśliwców z dalekiej Polski: zamierzali przeszkolić ich na bombowcach. – Wydawało nam się, że duma nie pozwala Anglikom, aby obcokrajowcy bronili ich ojczyzny – wspominał pan Janusz. Ale po upadku Francji, w walkach nad którą lotnictwo angielskie poniosło ogromne straty, schowali Brytyjczycy swoją dumę do kieszeni. W początku sierpnia 1940 roku Żurakowski, po krótkim przeszkoleniu, rozpoczął służbę w 234 Dywizjonie Myśliwskim RAF. Rozpoczęła się Bitwa o Wielką Brytanię. Żurakowski walczył w dywizjonie angielskim, ale w powietrzu były też dwa polskie dywizjony RAF – 302 i 303.

Latali na okrągło. Straty były duże, spowodowane także nieludzkim zmęczeniem. W połowie września z dwudziestu paru pilotów Dywizjonu 234 zostało mniej niż dziesięciu. Wtedy wycofano ich do Kornwalii, co nie przypadło do gustu Żurakowskiemu, który w czasie tych morderczych zmagania zdołał zestrzelić na swoim Spitfire'rze trzy Messerschmitty (plus jeden prawdopodobnie), ale i sam został

zestrzelony nad wyspą Wight, co wywołało w nim przejściowy wstręt do angielskiej herbaty, gdyż w każdym domu częstowany był tradycyjną „cup of tea”.

Wraz z porucznikiem Oleńskim poprosił o przesunięcie z cichej Kornwalii w bardziej aktywny rejon. Chcieli się dalej bić. Trafili do 609 Dywizjonu RAF w pobliżu Salisbury. Walczyli do końca Bitwy, która powoli wygasła. Dywizjon został przeniesiony w rejon Londynu, do osłony konwojów i pierwszych brytyjskich wypraw bombowych nad Niemcy. Tymczasem polskie Dowództwo Lotnictwa w Anglii zaczęło tworzyć nowe jednostki, wyciągając polskich pilotów z angielskich dywizjonów. W ten sposób w marcu 1941 roku Żurakowski został instruktorem wyszkolenia myśliwców, a w grudniu znalazł się w 315 polskim dywizjonie „Dęblińskim”. W kwietniu 1942 roku został dowódcą eskadry w 306-tym, a w parę miesięcy później dowódcą 316 Dywizjonu „Warszawskiego”. Wreszcie w lipcu 1942 roku objął funkcję zastępcy dowódcy Skrzydła w Northolt; prowadził skrzydło w czterdziestu lotach bojowych. Osłaniali amerykańskie „latające fortece” w wyprawach nad Niemcy.

„Zura” - jak zwali go brytyjczy koledzy - nie nadawał się do siedzenia za biurkiem. A taką rolę wyznaczyło mu polskie dowództwo, przenosząc go w roku 1943 do Dowództwa Lotnictwa Myśliwskiego na stanowisko oficera „taktyczno-treningowego”. Gdy więc dowiedział się, że w Imperialnej Szkole Pilotów Doświadczalnych było jedno miejsce dla Polaka - zgłosił się natychmiast. W marcu 1944 roku rozpoczął roczny kurs, razem ze śmietanką lotników z całego świata. Latał na wszystkim - od najmniejszych samolotów do bombowców. Zrobił też kilka lotów z lotniskowca, dzięki skierowaniu na pierwsze loty doświadczalne w Dywizjonie Morskim. Wreszcie trafił do dywizjonu prób samolotów myśliwskich. Usiadł za sterami pierwszych brytyjskich odrzutowców Vampire i Meteor.

Gdy kończyła się wojna, Żurakowski miał już oblatanych czterdzieści różnych typów samolotów; był znakomitym pilotem doświadczalnym, czego dowiódł ponad wszelką wątpliwość w lipcu 1945 roku, demonstrując odrzutowiec Vampire. Prasa lotnicza piała, zachwytem nie było końca: „The most brilliant exhibition probably ever seen” (prawdopodobnie najdoskonalszy pokaz widziany kiedykolwiek). W październiku na odrzutowym Hornecie zademonstrował pętlę z wyłączonymi obydwoma silnikami, by potem zadziwić widzów pełną akrobacją z jednym tylko pracującym silnikiem.

Owoce tych wyczynów była nie tylko sława, ale i od roku 1947 praca pilota doświadczalnego w angielskiej firmie lotniczej Gloster Aircraft, produkującej myśliwce Meteor i Javelin, które należało udoskonalać. „Zura” to potrafił. Przyszły więc kolejne sukcesy. Do największych zalicza jednak poślubienie swojej polskiej narzeczonej, Anny Danielskiej. Ich rodziny były przed wojną ze sobą zaprzyjaźnione, ojcowie-lekarze pracowali razem. Pan Janusz próbował sprowadzić panią Annę do Anglii zaraz po wojnie, ale nie było to łatwe. Kolejne próby kończyły się fiaskiem. W końcu jednak udało się jej wyjechać ze stalinowskiej Polski – po wstawiennictwie Jarosława Iwaszkiewicza. Ślub odbył się 13 maja 1948 roku w Paryżu.



Janusz Żurkowski na ramionach kolegów po pierwszym locie Avro Arrow, 25 marca 1958 r.

„Niezrównany pilot demonstracyjny” i pionowe „koła od wozu”

W osiem miesięcy później, w styczniu 1949 roku Żurkowski osiągnął siedem i pół

mili wysokości lotu w siedem i pół minuty, co było rekordem świata, a w rok później ustanowił międzynarodowy rekord szybkości na trasie Londyn-Kopenhaga-Londyn i uzyskał miano „niezrównanego pilota demonstracyjnego”, jak pisał tygodnik „Flight” po pokazach w Belgii. Wreszcie na pokazach w Farnborough w roku 1951 zademonstrował lotniczemu światu pierwszą od lat dwudziestu nową figurę akrobacyjną, nazwaną przez francuski „Aviation Magazine” „Zurabatic Cartwheel”. – Zannotujmy, że akrobacja po angielsku jest „aerobatics” – pisali Francuzi – ponieważ Żurakowski ją wykonał, nazwa będzie „Zurabatics”. „Zura” wyciągał swój Meteor ostro w górę, zadławił jeden silnik i z drugim na pełnej mocy wykonywał półtora pionowego „koła od wozu”.

Wieści o wyczynach Żurakowskiego dotarły i za Ocean. Zakłady lotnicze A. V. Roe (zwane też Avro Canada) w Malton pod Toronto poszukiwały takiego właśnie pilota. Żurakowski został ich głównym pilotem doświadczalnym (Chief Test Pilot). W roku 1952 przeniósł się z rodziną (w Anglii urodziło się Żurakowskiem dwóch synów, Jurek i Marek) do Kanady.

Jeszcze tego samego roku przekroczył barierę dźwięku na samolocie pościgowym CF-100 o prostych skrzydłach, „co narobiło trochę szumu, gdyż fachowcy nie wierzyli, że było to na tym samolocie możliwe” – jak skromnie wspominał pan Janusz. Fachowcy wierzyli za to w następcę CF-100 – myśliwiec przechwytyjący CF-105 Avro Arrow, który 25 marca 1958 roku Janusz Żurakowski oblatął. 14 września 1958 roku, w swoim dwudziestym drugim, ostatnim locie na Arrow, Żurakowski osiągnął szybkość Mach 1.86 (czyli prawie podwójną prędkość dźwięku). Lecz pomimo znakomitych osiągnięć i właściwości, wspaniałych prognoz i niezwykłych perspektyw dla rozwoju przemysłu lotniczego w Kanadzie, produkcja samolotu została brutalnie wstrzymana przez konserwatywny rząd Johna Diefenbakera, który skazał tym samym zakłady A.V. Roe na zamknięcie.

Złamana Strzała i duch narodu

Ślady po złamanej Strzale zacierano z niezwykłą dokładnością, jak po przestępstwie. Na tereny zakładów Avro wkroczyło wojsko, by przypilnować pocięcia palnikami (sic!) istniejących już samolotów (łącznie 37 w różnych stadiach produkcji) oraz kanadyjskich silników Orenda, jak również zniszczenia całej dokumentacji. Samolot

CF-105 Arrow był najwspanialszym technicznym osiągnięciem Kanadyjczyków w dziejach tego kraju. Był poza tym dzieckiem kochanym przez kanadyjską społeczność. Miłością do Arrow przepełnione były relacje prasowe z tamtych lat, późniejsze książki oraz filmy, zarówno dokumentalne, jak i para-dokumentalny, dwudcinkowy film telewizyjny CBC.



Arrow latał jak ptak..., fot. z archiwum Żurakowskich.

Los Avro Arrow zdaje się obchodzić wszystkich. Krytycy decyzji twierdzą, że na życzenie Amerykanów, którzy bali się tak silnej konkurencji w przemyśle lotniczym po północnej stronie granicy, dokonano trwałego sabotażu na przyszłości Kanady. W wielu komentarzach od 60 lat słychać powracający motyw o duchu narodu, który wtedy, w tamten „czarny piątek” 20 lutego 1959 roku, uległ świadomemu zniszczeniu. Od swych narodzin na deskach kreślarskich do zniszczenia na terenie zakładów w Malton pod Toronto, myśliwiec CF-105 Arrow dawał liczne dowody swej wyjątkowości. Był samolotem rewelacyjnym, w opinii dwóch polskich oblatywaczy, Janusza Żurakowskiego i Władysława „Spuda” Potockiego. Przy pracy nad nim

skupiono najtęższe umysły konstruktorskie tamtych czasów. Kierował tym zespołem Jim Floyd o renomie konstruktora bijącego rekordy myśliwca CF-100 oraz pierwszego na świecie odrzutowca pasażerskiego Avro-Jetliner. Podobnie jak Arrow był to samolot w pełni kanadyjski, bardzo udany i zupełnie niedoceniony, o wiele lepszy od brytyjskiego Cometa, który, nie dopracowany technicznie, rozlatywał się w powietrzu. W 1949 roku wyprodukowano jeden egzemplarz Jetlinera, na więcej rząd kanadyjski nie złożył zamówień; w 1957 roku pocięto go na żyłki - zamiast postawić w muzeum. Warto dodać, że po likwidacji programu Arrow Floyd przeniósł do Anglii i razem z Francuzami skonstruował Concorde'a.

Arrow od pierwszych lotów wyrównywał rachunki zainwestowanych w nim nadziei. Jak powiedział Janusz Żurkowski, Arrow latał jak ptak, z każdym lotem wyżej i szybciej. Już w trakcie lotów próbnych stał się światową sensacją i został okrzyknięty najlepszą konstrukcją lotniczą doby powojennej, która technologicznie wyprzedzała wszystkie podobne konstrukcje o lat co najmniej dwadzieścia - tyle zabrało Rosjanom dorównanie Kanadyjczykom. Dopiero ich Mig-29 dogonił Avro Arrow osiągami, ale przegrał z kretesem w dziedzinie aerodynamiki, czystości linii i „kosmicznego” wyglądu, zapowiadającego wielkie możliwości rozwojowe tej konstrukcji.

Już po likwidacji programu inżynierowie zwolnieni z Avro Canada - i dosłownie z dnia na dzień zatrudnieni przez Amerykanów, w tym wielu Polaków - współbudowali amerykańską potęgę kosmiczną, łącznie z lądownikiem księżycowym, wahadłowcem Columbia oraz szkoleniem pierwszych astronautów. Rząd kanadyjski zamykając program Arrow nie tylko odbierał pracę piętnastu tysiącom ludzi, zatrudnionym w zakładach Avro i Orenda (silniki odrzutowe) oraz tysiącom współpracujących kontraktorów, odebrał też Kanadyjczykom poczucie własnej wartości. Gdy złamano Strzałę, Janusz Żurkowski powiedział: „To tak prawie jakby nasz duch, jako narodu, umarł”. Nieco później napisał we wstępie do książki *Shutting Down the National Dream*:

Rządy i palniki mogą zniszczyć samolot, ale nie są w stanie zniszczyć nadziei, pragnień i wielkości poszukującego ducha. Marzenie żyje dalej w sercach ludzi[1].

Wielu specjalistów lotniczych i ekonomistów, publicystów i polityków nie może

przeboleć bezpowrotnie utraconej przez Kanadę szansy stania się światową potęgą technologiczną. Kanada pozostała w powszechnym odczuciu krajem pionierów, rolników i traperów, krajem surowcowym. Po kilkuletnim „supersonicznym zawrocie głowy” wróciła do tradycji i mentalności przodków. Podobnie postąpił Żurakowski. Odrzucił kuszące propozycje wielkich zakładów lotniczych w Stanach Zjednoczonych, gdyż chciał pozostać w Kanadzie. Miał 44 lata. Był wybitnym pilotem-oblatywaczem, specjalistą w dziedzinie najbardziej zaawansowanych technologii przyszłości, ale postanowił zostać pionierem w kanadyjskim buszu. Zdecydował się rozpocząć życie od nowa, nieomal na wzór pierwszych osadników – od wyrębu drzew, budowy kabiny, a potem domu. Z naddźwiękowego myśliwca przesiadł się na traktor. Wziął do rąk siekierę i łopatę. Zaczął karczować busz, zrąbane drzewa przerabiać na deski, z desek budować rodzinne gniazdo oraz – eksperymentalne łodzie i skutery śnieżne, napędzane silnikiem wyposażonym w śmigło. Duch pilota doświadczalnego nie pozwolił mu spocząć na laurach.

Janusz Żurakowski miał dwa życia: lotnicze i osadnicze, miał też dwa pogrzeby. W pierwszym, 12 lutego 2004 roku pochowano go pośród... brył lodu z jeziora Kamaniskeg: ziemia na kadyjskich Kaszubach była zbyt zmarznięta, by można było wykopać grób. Dopiero w kwietniu odbył się drugi, już ten właściwy pochówek na cmentarzu Parafii św. Jadwigi przy Siberia Road w Barry's Bay. Leży tam obok żony Anny, która dołączyła do męża we wrześniu 2015 roku.



Ostatni spacer Janusza Żurakowskiego, Kartuzy Lodge, 19 maja 2003 r., fot. M. Kusiba.

Uznawany za jednego z najlepszych pilotów doświadczalnych wszech czasów, pułkownik Żurakowski jeszcze za życia wpisany został w poczet członków honorowych Międzynarodowego Stowarzyszenia Pilotów Doświadczalnych (Honorary Fellow of the Society of Experimental Test Pilots) w Los Angeles - obok nazwisk zdobywcy Atlantyku Charlesa Lindbergha i zdobywcy Księżyca Neila Armstronga. Otrzymał tytuł „Pioniera kanadyjskiego lotnictwa”, prestiżową nagrodę Trans-Canada McKee Trophy za rok 1958 oraz został członkiem Galerii Sławy (Canadian Aviation Hall of Fame) kanadyjskiego lotnictwa. Jego imię nosi główny budynek Centrum Lotów Doświadczalnych w Cold Lake w Albercie. Otrzymał też nagrodę James'a Floyd'a, konstruktora Avro Arrow. W Kanadzie wybito srebrną, 20-dolarową monetę ze złotą podobizną Żurakowskiego i sylwetką CF-100 na awersie i królowej Elżbiety II na rewersie. Odznaczony Virtuti Militari i Krzyżem Walecznych (trzykrotnie), w roku 1999 otrzymał od władz III RP Krzyż Komandorski Orderu

Zasługi, a Polski Klub Pilotów Doświadczalnych wręczył mu złotą odznakę z numerem 2 (odznakę z numerem 1 nadano Bolesławowi Orlińskiemu). Janusz Żurkowski został też laureatem „Błękitnych Skrzydeł” - nagrody „Skrzydlatej Polski”. W lipcu 2003 roku społeczność Barry’s Bay w hołdzie swemu najsłynniejszemu obywatelowi ufundowała Park Żurakowskiego, gdzie stanął naturalnej wielkości pomnik pilota oraz replika Avro Arrow (w skali 1:4).



Park Żurakowskiego w Barry’s Bay, fot. M. Kusiba.

[1] G. Stewart: *Shutting Down the National Dream: A.V. Roe and the Tragedy of the Avro Arrow*. Whitby, Ontario 1997, 1988, p. X.

W 1997 roku powstał film p.t. „The Arrow” w reżyserii Dona McBrearty (red.).

Gramatyka życia, miłości i wiary. Magda Stroińska i jej poezja.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Ks. prof. dr hab. Jan Walkusz

Zdumiewające i dość przedziwne – jak się okazuje – może być dojrzewanie słowa, czyli rodowód aktywności pisarskiej, odwołującej się do przeżyć, doświadczeń, marzeń i tęsknot. Wielce wymownym przykładem takiej konstatacji wydaje się twórczość Magdy Stroińskiej, autorki niniejszego tomu poezji.

Urodzona w Warszawie w rodzinie lekarza i bibliotekarki Wyższej Szkoły Gospodarstwa Wiejskiego, miała dwóch starszych braci przyrodnych z pierwszego małżeństwa ojca, którzy wraz z matką byli deportowani ze Lwowa do Kazachstanu, a po latach wojennej katorgi wrócili do Polski. Ich tragiczne

dzieciństwo mocno wpisało się w pamięć i przeżycia Magdy Stroińskiej, która po ukończeniu Liceum Ogólnokształcącego Klemensa Gottwalda (dawniej i dziś – Stanisława Staszica) nie dostawszy się na wymarzoną Akademię Sztuk Pięknych, studiowała germanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Po ukończeniu w 1979 r. studiów pracowała zrazu w Instytucie Lingwistyki Stosowanej, a następnie jako dydaktyk na germanistyce. W stanie wojennym zaangażowała się jako wolontariuszka w Komitecie Pomocy Więźniom Politycznym i ich Rodzinom, działającym przy kościele św. Marcina w Warszawie. W 1984 r. wyjechała na studia doktoranckie do Edynburga (Szkocja), gdzie w 1987 r. uzyskała doktorat z lingwistyki ogólnej, a następnie wraz z mężem wyjechała do Kanady.

Od 1988 r. pracuje na Wydziale Lingwistyki i Języków Obcych Uniwersytetu McMaster w Hamilton (Ontario, Kanada) jako profesor filologii germańskiej i językoznawstwa. W latach 1996-2001 była też *senior research fellow* na Uniwersytecie w Kingston-upon-Thames w Wielkiej Brytanii. W badaniach naukowych zajmuje się lingwistyką kognitywną, socjolingwistyką, pragmatyką międzykulturową i lingwistyką komputerową oraz problemami starzenia się osób dwujęzycznych, a także propagandą totalitarną.

Opublikowała szereg prac, m.in. *Relative Points of View: Linguistic Representations of Culture* (Berghahn, 2001), *Exile, language and identity* (z Vikki Cecchetto, Peter Lang, 2003), *Unspeakable: Narratives of trauma* (z Vikki Cecchetto i Kate Szymanski, Peter Lang, 2014). Choć od ponad 30 lat mieszka w Kanadzie, zachowała bliskie związki z krajem pochodzenia i językiem polskim.

Magda Stroińska już jako uczennica szkoły średniej zafascynowała się – a był to wpływ niezwykle ideowej polonistki Bożeny Rożalskiej – poezją Gombrowicza, Schulza, Grochowiaka, Szymborskiej, Białoszewskiego, Witkacego, Poświatowskiej i Wojaczka. To właśnie owa nauczycielka języka polskiego odsłaniając przed uczniami czar prawdziwego słowa i ucząc odpowiedniego czytania poezji, potrafiła zarazem skutecznie stymulować pierwociny pisarstwa i wzniecać wiarę w sensowność takiego działania. A choć był to istotny fragment kształtującego się u Magdy Stroińskiej procesu, wydatnie dopełniał go wpływ twórczości, głównie poetyckiej, przyrodniego brata Autorki, Andrzeja Czcibor-Piotrowskiego (1931-2014), który na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych ubiegłego

wieku legitymował się już dość bogatym dorobkiem jako autor wierszy, artykułów, recenzji i przekładów m.in. z języka czeskiego, słowackiego, serbsko-chorwackiego, słoweńskiego, macedońskiego i angielskiego; on też wprowadził młodszą o pokolenie siostrę w klimat poezji T. S. Eliota. Cały ten splot oddziaływań wygenerował u dzisiejszej profesor filologii germańskiej i językoznawstwa z kanadyjskiego Hamilton potrzebę – jak sama wyznaje – zapisu ulotnych uczuć i myśli, wybranych i pomieszczonych w niniejszym zbiorze.

Cokolwiek by o tych tekstach powiedzieć i jakkolwiek je oceniać, trzeba wszak podkreślić, iż są one wyjątkowym i niezwykle autentycznym sposobem mówienia do drugiego człowieka, do siebie i do Pana Boga, wykreowanym koniecznością zwerbalizowania własnych uczuć i zgoła niepowtarzalnych przeżyć. Mowa taka i słowo mają bowiem to do siebie – upraszczając nieco zagadnienie – że są w stanie wygenerować całą gamę refleksji i niezwykle brzemiennej odczuć. A jeśli są w stanie zatrzymać pospieszną codzienność i wyjść poza orbitę przyciasnej tutejszości, znaczą coś więcej niż namiętne gadanie na użytek nijakiej publiczności, albowiem trącają o taką kategorię słowa, która przemienia rzeczywistość, sięgając do jej metafizycznej głębi. Ponad wszelką wątpliwość właśnie tak należy spojrzeć na teksty Magdy Stroińskiej, zawierające w istocie głębokie i ważne przesłanie, i tak je trzeba czytać.



Głównym tematem poetyckiej refleksji pomieszczonych tutaj utworów jest człowiek w swej złożonej strukturze psycho-fizycznej, jego świat wartości i kondycja intelektualno-duchowa widziana w perspektywie wielorakich doświadczeń. Niewątpliwym bogactwem w tak odbieranej przestrzeni jest słowo, które z jednej strony określa tożsamość człowieka, z drugiej zaś jest probierzem jego godności i wielkości, a zarazem tą wartością, której nie może być on pozbawiony.

Stąd - jak chce Autorka - rodzi się konieczność odpowiedzialności za słowo:

*(...) biorę te słowa w palce
badam pod światło
sprawdzam czy dźwięczą jak kryształ (...)*

*wsuwam chyłkiem w kieszeń
mój skarb
moje bogactwo
mogę je zamknąć w dłoni
przemycić przez każdą granicę...*

*to dobrze
że ofarowujesz mi słowa
słów
nie można odebrać
(„słowa”),*

potrzeba szukania płaszczyzny porozumienia i odnajdywania tego, co łączy, a co może dokonać się tylko dzięki słowu i dobrej woli:

*nawet jeśli to prawda
że jest inne niebo
dla prawosławnych
i dla katolików
dzieli je co najwyżej las
ot, gęsty zagajnik*

*możemy się tam spotykać
zbierać grzyby i rajskie jagody
odpocząć w cieniu
znużeni upałem*

*powiedz proszę że to prawda
dobry Panie Boże.
(„inne niebo”)*

Skuteczność słowa zasadza się na dialogiczności, albowiem kierowane w stronę drugiego człowieka, wymaga - by skutecznić swoją misję, a przez to stworzyć bardziej ludzką rzeczywistość - odpowiedzi. I tylko w takiej konfiguracji staje się możliwy, systematycznie wzbogacający się proces tworzenia wiedzy, rodzący wiarę i

pomnażający nadzieję:

*Give me answer
to kill my curiosity (...)
give me faith
that is stronger than death
let me hope.
(„give me answer”)*

Wiara zaś i nadzieja jako skutek należytego odczytania słowa i przyjęcia jego przekazu, a nade wszystko Słowa Objawionego, pozwalają głębiej zrozumieć siebie, zwłaszcza w kontekście wartości metafizycznych i nadprzyrodzonego przeznaczenia człowieka. W taki bowiem sposób dokonuje się proces szukania korzeni własnej tożsamości, który - jeśli być wiernym i uczciwym wobec siebie - może być najzwyczajszym pytaniem o Boga i Jego plany w stosunku do mnie i do świata. Czasami jest to „Pan Bóg - starzec siwobrody / z dobroduszną twarzą / naszego proboszcza”, innym razem obraz Boga ukształtowany w dzieciństwie, wzbogacony nadto treścią książek, wśród których jest „Sartre i ksiądz Twardowski / Boris Vian obok Witkacego...”, by ostatecznie dojść samodzielnie do intuicyjnego doświadczenia, dalekiego od naukowych teorii i filozoficznych tez, bo:

*Bóg
pulsuje w moich żyłach wraz z krwią
wpływa lękiem pod czaszkę
rozlewa się falą chłodu pod skórą
wchodzi w słowa
powraca do mózgu
i przesuwa się cieniem
pod zaciśniętymi powiekami...
(„Bóg mieszka...”)*

To głębokie doświadczenie Boga w naszej codzienności, i to nawet - jak wynika z egzemplarycznie tylko przywołanych tekstów - w najdrobniejszych przejawach życia, ma i musi mieć swoje konsekwencje już to w komplementarnym odczytywaniu

zbawczego orędzia, już to w sytuowaniu własnej drogi i towarzyszących jej koniecznych wyborów w takiej optyce, by nie było rozdźwięku między przyjętym i wyznawanym systemem aksjologicznym a postępowaniem. Wprawdzie - co nietrudno dostrzec - świat i otoczenie zmieniają się, pięknieją - dzięki ludzkiemu wysiłkowi i niekonwencjonalnym rozwiązaniom - kościoły i świątynie, tylko Chrystus ukrzyżowany ciągle ten sam z tajemnicą śmierci i zmartwychwstania, choć przyodziany marmurem i złotem. Dobrze więc będzie, jeśli w tych wszystkich okolicznościach znajdzie się miejsce na pogłębioną refleksję i czas na pytanie o to, co w tym wszystkim jest ważniejsze: złota rama i włoski marmur czy bolejący Chrystus rozpięty na krzyżu i pytający o człowieka? („remont u św. Jakuba”). Odpowiedź bynajmniej nie wydaje się łatwa, jeśli zważyć z jednej strony na „dramat wolnej woli”, z drugiej zaś na dzieło Opatrzności Bożej. Choć może kusić niekiedy droga na skrót i szukanie pozornego szczęścia, Bóg jako Dobry Ojciec cierpliwie i wciąż od nowa wskazuje bezpieczną drogę i czeka na każdy powrót, który tak naprawdę jest spotkaniem w miłości.

(...)

*wiem, to tylko ja błędzę
ty jesteś zawsze
w tym samym miejscu (...)*

*pozwalasz mylić drogę
ale kiedy zbliżam się do skraju urwiska
zatrzymujesz mnie
odwracasz uwagę od otchłani
szybko dorysowujesz nową ścieżkę
tuż u mych stóp*

*nie prowadzisz mnie
lecz czuwasz
a ja
na przełaj
uparcie wędruję do Ciebie
wiem przecież:
wierzysz, że dojdę*

(„wierzysz, że dojdę”)

A miłość objawia się także w tym, że uświadamiamy sobie ogrom Bożego miłosierdzia, i... niestety, nasz egoistyczny formalizm. Nie sposób więc przejść obojętnie wobec modlitwy – poetyckiej refleksji Magdy Stroińskiej, gdy wyznaje: „Wybaw nas, prosimy Cię o Jezusa, od wszelkich nieszczęść przeszłych, teraźniejszych i przyszłych, a za przyczyną błogosławionej i zawsze chwalebnej Dziewicy, Twojej Rodzicielki Maryi, świętych Apostołów Piotra i Pawła i Aniołów, którzy Ciebie pod postacią chleba w Najświętszym Sakramencie uwielbiają, odpuść nam nasze winy i zbaw nas ode złego. Amen. Za co? Za tych kilka słów wyklepanych bezmyślnie raz na tydzień, gdy w odświętnych ubraniach przestępujemy z nogi na nogę, myśląc tylko o sobie? Po co?”.

Liryczna wypowiedź poetki-językoznawcy z Hamilton, choć zróżnicowana pod względem tematycznym, jest przede wszystkim pytaniem o człowieka, o te wszystkie wartości, które określają i wypełniają jego życie. Jest więc w niej – jak wskazano wyżej – odniesienie do Absolutu i treści metafizycznych, ale jest też pytanie o miłość, przyjaźń, sens życia, nieuchronność przemijania, i wreszcie pogłębiona refleksja nad tajemnicą i koniecznością śmierci. Między innymi w utworze pt. *Pomiędzy miłością i śmiercią*, dedykowanym pamięci Haliny Poświatowskiej w słowach:

(...)

umarłaś

ja uczę się dopiero

sztuki umierania (...)

rozbrzmiewa echo przekazu zarówno Jana Lechonia, jak i ks. Janusza St. Pasierba. Pierwszy z nich porównywał bowiem miłość ze śmiercią, bo: „Jedno wiemy tylko. I nic się nie zmienia / Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci” („Pytasz, co w moim życiu...”), drugi natomiast mówił o tych, którzy odeszli na drugi brzeg, jako o tych, którzy dopiero żyją; to my powoli umieramy, a zmarli są zawsze od nas starsi o całe życie, a nawet o śmierć.

Ale nie brakuje też w tekstach Magdy Stroińskiej reminiscencji

autobiograficznych, odnoszących się zwłaszcza do życia na emigracji i bliskich związków z tymi, którzy pozostali w kraju nad Wisłą, co wcale nie przeszkadza w permanentnym budowaniu uczuć, ponieważ miłość jest ponadczasowa i ponadprzestrzenna. Stąd jakże wyraziste wyznanie:

*żyjąc w klatce
nabrałam lęku otwartych przestrzeni
i strachu
przed potrzebą jakiegoś wyboru
cóż
taka jest widać cena
za bezpieczne życie
(„Bezpieczne życie”)*

albo w innym miejscu:

*(...)
to nic
że nasze zegarki
wskazują inne godziny
i że kiedy ja kładę się spać
ty kończysz już drugie śniadanie
czas i miejsc
są tu bez znaczenia

wiem tylko jedno
że zostawiłeś otwartą furtkę
czekasz.
(„nocą...”)*

Mimo że w obrazowaniu, metaforyce i konstrukcjach ideowo-artystycznych anonsowane tu utwory nie są wyszukane, niemniej stanowią autentyczne świadectwo i poetycką próbę rozrachunku ze sobą – przed sobą, przed innymi i przed Bogiem. Czegoś takiego nie można ograniczać, tym bardziej nie wypada z tym polemizować,

zwłaszcza gdy mamy do czynienia z umiejętnością operowania słowem, a więc sztuką, której nie można się nauczyć. To trzeba po prostu czuć i nosić w sobie. Od strony prawideł genologicznych pomieszczone tu teksty należy zasadniczo lokować w ramach

przyjętej konwencji. A to znaczy, że główny czynnik konstytuujący liryczny charakter wypowiedzi, czyli podmiot liryczny (tzw. „ja” liryczne) oraz sytuacja liryczna, określone konstrukcjami gramatyczno-językowymi, odpowiadają powszechnym wymogom.



Magda Stroińska, fot. arch. prywatne.

Choć Autorka z reguły stosuje podmiot, który ujawnia się w formie gramatycznego „ja”, co wydaje się być najwłaściwszym rozwiązaniem z racji prezentacji indywidualnych i subiektywnych przeżyć, refleksji, doznań oraz poglądów twórcy, odwołuje się nadto - rzadziej co prawda - do innych skonwencjonalizowanych typów podmiotu lirycznego. Chodzi zatem o podmiot mniej lub bardziej ukryty w przedmiotach i okolicznościach przedstawionych, co wcale nie wyklucza, przy widocznej ponad wszelką wątpliwość dyskrecji gramatycznej, zsubiektywizowanej treści utworu. Innym zaś razem jawi się on jako wyraźny partner drugiej osoby, czyli adresat wypowiedzi lirycznej, do którego kieruje swoje wyznanie bądź refleksje na wzór mowy potocznej, zakładającej kontakt interpersonalny. I na końcu wreszcie, zastosowany podmiot liryczny, próbując utożsamiać się z pewną grupą o identycznych poglądach, tożsamych wartościach czy doświadczeniach,

uzewnętrznia owe uczucia, przy niemal zupełnym zaniku form zindywidualizowanych, jakby w jej i własnym imieniu za pomocą gramatycznego „my” (np. „Wybaw nas...”, „remont u św. Jakuba”, „odchodzę...”). Ponad wszystko jednak dominuje w poezji Magdy Stroińskiej kategoria ujawnionego „ja” lirycznego, będącego od z górą czterdziestu lat powiernikiem Poetki, jej doświadczeń egzystencjalno-emocjonalnych oraz zapatrywań, którymi chce się podzielić w niniejszym tomiku.

—

Magda Stroińska, Gramatyka mojego języka, wybór, opracowanie i wstęp Jan Walkusz, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2017 r.